№ 35. Warszawa, dnia 29 (17) Sierpnia 1896 roku. Rok XXXVIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kopiejek 10.
Na prowincyi
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. 12.

Antoni Miecznik.

OWANES OHANA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Owanes kochał, kochał szczerze, niezmiennie, bezgranicznie, a nie śmiał wyznać w wyrazach jasnych tej miłości, lubo wiedział, był pewnym, że ta, co mu serce uwięziła, przykuła do myśli swych, odczuwa to kochanie i jest mu wzajemną. Słowa jego przecież pełne uczucia, echem się odbijały głośnem w jej duszy młodej; widoczne się to stawało z każdego ruchu, z każdego przelotnego nawet błysku jej oczu. Byłby tak milczał Bóg wie jak długo, gdyby nie los, nie przypadek.

Zdarzyło się, że Owanes idąc wedle zwyczaju po skończonej konferencyi z panem Kajetanem do alei akacyowej, zastał tam siedzącą na ławeczce Helcię. Młoda panna siedziała i przerzucała jakąś książkę; czytanie jej widocznie nie szło, bo raz po raz rzucała oczyma to na drzewa pozłocone promieniami zachodzącego słońca, to na wydłużone ich cienie, to wreszcie na wijącą się ścieżkę bocznego szpaleru.

Zbliżył się i jak zwykle rozpoczął rozmowę:

— Co czytasz, Helciu?

— A tę psychologię, coś mi pożyczył wczoraj. Czytam i czytam, ale jakoś ciężko idzie.

— Cóż takiego? Czego nie rozumiesz, daj, to ci wytłómaczę, przecież książka jest przystępnie napisana, dlatego ci ją nawet dałem do przestudyowania.

I jął się dopytywać, na pytania rzucone odpowiadać swoim zwyczajem treściwie a jasno, wreszcie zapalił się i począł na dobre rozwodzić się nad treścią dzieła.

Dziewczyna trzymając książkę złożoną w ręku patrzała na niego uważnie i zdawała się słuchać, chociaż ją więcej zajmował blask oczu mówiącego, głos jego dźwięczny aniżeli to, co mówił. Kiedy skończył, rzekła półgłosem:

— I cóż, czy ta książka rozwiązuje zagadkę duszy ludzkiej.

— Zagadkę?

— Tak.

— Ale dusza ludzka nie jest jedna, do zrozumienia jej trzebaby tyle tłómaczeń, tyle formuł, że tak powiem, ile jest ludzi.

— A czy każdy sam siebie rozumie? Ja zawsze jestem tego zdania, że nie.

— Sądzę, że każdy, zastanowiwszy się dobrze, rozumieć się powinien.

Helunia oczyma wodziła dotychczas po jasnem niebie, którego płat przedzierał się przez wykrój drzew u góry — nagle wzrok skierowała na swego towarzysza — i rzekła:

— A ty siebie rozumiesz?

— Najdokładniej, tak jak rachunki twojego taty — dodał z uśmiechem.

— A innych rozumiesz?

— O tyle, o ile...

— Kogo jednak najwięcej?

Owanes na to zapytanie zarumienił się lekko, poruszył gwałtownie na ławeczce i szepnął:

— Kogo? Ty wiesz kogo.

Nie było odpowiedzi.

— Ciebie! Boś ty jest we mnie, bo cała dusza twa odbija się w mojej — dodał z zapałem, a słowa mu płynęły z serca, jak potok górski ze źródeł skalnych.

Dziewczyna słuchała, patrząc na gwiazdkę wieczorną, migocącą nad nim, na policzki jej wystąpiły rumieńce, niby dwie róże rozkwitłe.

— Tyś moją duszą, Helciu, od lat, lat... Od wieków całych, tyś mojem marzeniem, kochaniem jedynem, bo nie mam nikogo na świecie prócz ciebie.

Wziął ją za rękę, pozwoliła, siedziała nieruchoma jakby zamagnetyzowana; okrył ją pocałunkami, nie wydzierała jej:

— I ja ciebie najlepiej rozumiem, Owanesie, ciebie jednego, jedynego, bo cię kocham.— Szepnęła i rozchyliła usta rozkosznie.

Ohana stracił prawie przytomność z upojenia, przygarnął ją do siebie, przytulił i na tych ustach czystych, niewinnych złożył pocałunek.

Był to pierwszy i związał ich na zawsze. Wspomnienie tego pocałunku żyło w pamięci jej i jego długie lata; ani los, ani życie nie mogły go zatrzeć.

— Widzisz tą gwiazdkę, Heluniu, ona nad nami świeci, to nasza gwiazdka szczęścia, nasza; ja wiem, że ona ta sama. Ja będę wielkim, sławnym, bogatym, a ty będziesz moją, i tylko moją.

— Tylko twoją.

— Na zawsze..

— Na wieki...

Nie wiadomo, kiedy, i jak się to stało, że usta ich znowu się zetknęły; była to chwila wstrząsająca ich duszami do głębi.

Od tej chwili świadomi swego szczęścia, żyli niem, żyli szczęśliwie, a nikt się nie domyślał z domowych, że te dwa duchy już sobie wiarę przysięgły, już do siebie należą.

Owanes marzył, że za rok, za dwa, kiedy stanie na własnych nogach, poprosi starego Bohdanowicza o rękę córki. Sądził, że mu jej tenże nie odmówi, skoro pozna, iż przestał być hołyszem, pisarkiem. Żył tem marzeniem i dlatego każda chwila spędzona z Helcią była dlań rajem.

Tymczasem stało się inaczej. Pewnego dnia, a było to na wiosnę, przyjechał do Wysoki Szymonowicz, jeden ze spólników pana Kajetana. Niby to miał interes dłuższy, niby to z nudów, dosyć, że przesiedział na odaji dwa dni. Był wesół, rozmawiał dużo wbrew zwyczajowi, Helci

prawił komplementa zdawkowe. Takim go nigdy przedtem nie widywali; był zawsze chmurny, surowy prawie.

Najmłodszy ze stowarzyszonych przewyższał ich wykształceniem, ogładą towarzyską, ale brakło mu tej energii, tej pomysłowości, które tamci w wysokim stopniu posiadali. Chociaż pracował bardzo, duszę zda się całą włożył w gospodarstwo, szło mu ono opornie i gdyby nie poparcie solidarne spólników, byłby dawno przepadł zupełnie. Przyznając mu wszystkie cnoty możliwe, zarzucano mu zawsze pewną niezdarność, nieruchliwość, która się odbijała w każdym czynie jego obmyślanym doskonale, lecz nie wykonanym energicznie, w należytym czasie. Pomimo tego wszystkiego był lubiony i szanowany przez wszystkich. Za trochę flegmatyczne usposobienie nazywano go czasami Anglikiem, i śmiano się z tego powodu.

Z pomiędzy spólników on jeden był kawalerem. Chociaż dobiegał czterdziestki nie spieszył się z ożenkiem, mówiąc, że na wszystko ma czas. Doradzano mu, ażeby już skończył to starokawalerstwo, wożono go po różnych odajach, swatano na wszystkie strony. Napróżno. Nie chciał zrobić kroku stanowczego, jakby się obawiał małżeństwa. Kiedy się przyjaciele i znajomi spostrzegli, że z nim nie można nic zrobić ani fortelami, ani przekonywaniem, dali mu pokój. Odtąd do miana Anglika dodano jeszcze miano dziwaka.

A uważali go powszechnie za doskonałą partyę dla niejednej panny ormiańskiej, zalecał się bowiem tą stałością charakteru, tem zamiłowaniem porządku w życiu, które tak są w mężach cenione.

Takim był Szymonowicz Ormianin z pochodzenia, a Anglik z charakteru.

Gdy odjechał z Wysokiej, wszyscy naraz zaczęli się dziwić tej wesołości i temu dobremu humorowi, w jakim go widziano. Żartowano sobie z jego angielskości, mówiąc, że ta ostatnia ormiańszczeje.

— Czemu on dzisiaj wesół ten Anglik? — zapytywała Helcia ojca, widząc na jego twarzy jakąś uciechę.—Musiał przywieźć do Wysokiej jakąś bardzo pomyślną wiadomość, kiedy i tatkę wprawił w dobry humor.

— A tak, moje dziecko — odparł ojciec wpatrując się w córkę uważnie, — przywiózł m istotnie nader pomyślne wieści.

— Ciekawa jestem, co to takiego?

— Tyś zawsze ciekawa! A przecież się nie znasz ani na interesach, ani na pszenicy, ani na kukurydzy, ani na cenach zbożowych.

— Naturalnie, że się nie znam.

I urwała nagle, myślała, że istotnie konferencya z Szymonowiczem dotyczyła interesów; o czemżeby on mógł innem mówić, ten Anglik zimny.

Nazajutrz, koło południa, pan Kajetan zastawszy Helcię samą w alei na ławeczce, zbliżył się i siadając obok niej zapytał, co czyta.

— O, tatku, bardzo poważną książkę.

— Ho, ho, ho... poważne książki cię zajmują, odkądże to?

— To tatko nie wiedział, że mnie one zawsze zajmowały — odparła Helcia z urazą żartobliwą w głosie.

— Wiedziałem, wiedziałem, moje dziecko. A cóż to za tytuł tej książki?

— „Traité de l'ésprit."

— Książka francuzka, a ja stary po francuzku nie umiem.

Spojrzał się czule na nią i przygarnął do siebie.

— A może mi opowiesz co ciekawego z tej książki mądrej, którą ci pewnie dał Owanes?

— Tak, Owanes.

Lekki rumieniec towarzyszył tej odpowiedzi prostej.

— No, nie opowiesz mi, moja pieszczotko?

— Jeżeli tatko chce i ma czas...

Na te słowa pan Kajetan spojrzał na zegarek i rzekł:

— Czasu co prawda nie mam wiele. Zostawmy to do jutra, jutro tu przyjdę i wtedy cię będę słuchał z uwagą, bo i ja jestem ciekawy, co to tam w tych książkach francuzkich, które czytasz, jest warte czytania.

Zatrzymał się chwilkę i znowu zaczął, ale już jakimś bardziej czułym tonem:

— Teraz chcę ci coś powiedzieć, coś bardzo ciekawego.

— Co takiego? — Wyrwało jej się mimowoli, a czuła jakieś drżenie w piersiach.

— Co? Więc słuchaj! Powiem ci prosto z mostu, jak ja to umiem. Oto wczoraj Szymonowicz mówił mi, że mu się podobasz, że oddawna miał na ciebie oko zwrócone i myślał o tobie. Ponieważ zaś postanowił zakończyć swoje życie samotne, więc przyjechał mnie prosić o twoją rękę.

Skończył i patrzył na córkę, jakie też na nią wrażenie wywarły te słowa. Spodziewał się, że to wywoła na twarzyczkę córki radość i wesele, tymczasem zdziwił się, dostrzegłszy na jej obliczu śniadem najpierw bladość niezwykłą, a potem mocny rumieniec, który ogniem rzucił się na świeże dziewicze policzki.

Milczała. Zrobiło mu się jakoś nieswojo, więc ciągnął dalej, już poważnie:

— Widzisz, moje dziecko, wychodząc za Szymonowicza, robisz partyą. Znasz go, słyszałaś o nim tyle dobrego, to bardzo uczciwy, prawy i wykształcony człowiek. Nie wydałbym cię za niego, gdyby tego nie był wart.

Przerwała mu, ściskając konwulsyjnie nieomal książkę trzymaną w ręku:

— Ja wiem, że on prawy, zacny, uczciwy, że posiada wszystkie cnoty, znam go od lat tylu, ale ja za niego nie wyjdę!

— Dlaczego?

— Dlaczego?... Chce tatko wiedzieć?... Oto dlatego, bo on mi się nie podoba!

Stary żachnął się, córka niecierpliwić go zaczynała, wtrącił więc podrażniony:

— Co to nie podoba się! Czy ty wiesz, co to znaczy nie podobać się?... Zresztą, jak może ci się człowiek zdrowy, inteligentny, uczciwy, gładki nie podobać, ja tego nie rozumiem?

— Lecz ja rozumiem, mój tatku — rzekła dziewczyna, — nie podoba mi się, bo go nie kocham.

— Ho, ho, ho...—i śmiech ironiczny ojca rozległ się.— Moja droga, pokochasz, pokochasz z czasem, jak będziesz jego żoną.

— Ja jego żoną jednak nie zostanę.

— A za kogóż ty myślisz wyjść?

— Za kogo? Za tego, którego kocham!

Ojciec spojrzał na córkę i ramionami wzruszył.

— Więc ty już kochasz kogo?

— Kocham.

— Któż to taki?

— To do mnie należy, mój tatku!

— Ale i do mnie, bo nie pozwolę, ażeby ci ktoś napróżno w głowie miał przewracać.

— Któż to taki? — pytał dalej,— mów! Kto? Milczysz, co? Może to ten pisarczyk ci zawrócił głowę kochaniem, bo to narwana bestya! Co, on? Gadajże, bo mię już gniewać zaczynasz.

Dziewczyna zacięła zęby, powstrzymała gwałtem cisnące się łzy do oczu, pierś jej falowała jak burzliwe morze, a serce ściskało się z żałości i bólu. Ten ojciec, którego tak kochała, stawał się dla niej w tej chwili gorzej niż tyranem, bo katem.

Milczała.

— Więc co? Nie powiesz mi?... Słuchaj że, co ja ci powiem: jeżeli cię ten Ormiańczuk naprawdę zajął, to go sobie wybij z głowy; ja nie myślę hołyszów przypuszczać do rodziny.

— On nie będzie hołyszem — wyrwało jej się, — on pójdzie wysoko, bo jest bardzo inteligentny.

— Taaak... Patrzcie ją — wrzasnął ojciec, — więc go jeszcze bronić myślisz? A ja ci powiem, że to łajdak, niewdzięcznik; za to żem go przyłasił, kąsać mnie jeszcze myśli? Głupiec on jest! Nie, nie — wołał, — o nie, już ani słowa! Mnie na samo wspomnienie niedobrze się robi; ja nawet tego pojąć nie jestem w stanie. Jakiś nicpoń, gołowąs śmiał nietylko okiem rzucać na moją córkę, lecz jeszcze bawić się w jakieś amory!

— Tato! — zawołała Helcia, chwytając ojca za rękę, — tato, nie mów tak, proszę, on bardzo uczciwy i mądry, ten biedny Owanes; on za lat kilka będzie bogatszym od Szymonowicza.

Pan Kajetan nie zwracał na to uwagi, jego jasny kupiecki rozum widział wyraźnie rzecz całą, on nigdy się nie łudził i interes każdy traktował seryo, to też nie mógł pojąć, co się stało, że jego, jego kombinacye mogłyby się rozbić z powodu jakiegoś przybłędy, Owanesa, który mu chleb zawdzięczał. Stanął więc naprzeciwko córki a założywszy ręce w tył powiedział groźnie:

— Krótko, węzłowato! Z Owanesem ma być wszystko skończone; za małe uchybienie z jego strony wyrzucę go natychmiast z kancelaryi. Pan Szymonowicz będzie bywał u nas w charakterze starającego się o ciebie, masz być dla niego grzeczna, dobra i podobać mu się. Tyle powiedziałem i więcej mówić nie myślę!

Ledwie ojciec zniknął za drzewami alei, gdy dziewczę nie mogąc wytrzymać już dłużej zapłakało duszą całą. Ukrywszy twarz w dłoniach, Helcia płakała tak rzewnie, jakby kogoś najdroższego w świecie straciła. Śmiejąca się, ciepła, zielona wiosna stała się jej tak obojętną, tak zupełnie inną, aniżeli przed godziną. Rozmowa z ojcem zabiła w niej tą wolność myśli, którą się dotychczas cieszyła; widziała się skutą i zgnębioną przez własnego ojca, nie rozumiejącego jej zupełnie, nie zdającego sobie nawet sprawy ze stanu jej serca zranionego.

Miała jedyną nadzieję w matce, sądziła że tę przynajmniej zdoła skłonić na swoją stronę, bo wyrok ojcowski uważała za nieszczęście prawdziwe. Ale i tu zamiast pociechy doznała zawodu; matka zupełnie tak samo jak ojciec tylko w wyrazach łagodniejszych przedstawiała jej świetną partyę, jaką robiła wychodząc zamąż za Szymonowicza, który ją dopiero jedną upatrzył i obrał dla siebie na żonę. Powtarzała jej po kilka razy, że to wyraźna łaska Pana Boga, zjawienie się tego Szymonowicza, o którego się same pan-

ny starały, a on odrzucał je wszystkie dla niej, wyraźnie dla niej.

Zamiast pociechy doznawała teraz Helunia strasznego rozdrażnienia, które jej spokoju nie dawało, męczyło i gnębiło ją okrutnie. Nie mogła się oswoić z tą myślą, iż musi ustąpić woli rodziców i poślubić człowieka, który nie był tym wybranym od dzieciństwa. Szymonowicz, już dobrze łysy, o rysach przywiędłych, zlekka pomarszczonych, człowiek mrukliwy, nudny, nie mógł się równać z tym młodym, pełnym życia, zapału, energii Ormianinem, z którego twarzy biła inteligencya a w oczach błyszczała zaciętość wielka.

A jednakże choć czuła zawieszoną nad głową swoją dolę czarną, co ją gwałtem ciągnęła ku sobie; czuła zarazem i niemoc własną. Umysł i serce jej zbyt było skrępowane poczuciem posłuszeństwa dla rodziców, by mogły się buntować i wbrew woli ich postąpić. Nie była jeszcze kobietą, w której wzbudzone namiętności palą się i wybuchają płomiennym ogniem, niszczącym na popiół wszystkie wahania i wątpliwości. Ta jedna jasna a stanowcza myśl postawienia na swojem, nie zdołała dotąd umocnić się w jej panieńskim duchu, wybuch nagły, opór jaki dziś stawiła ojcu, był tylko buntem beznadziejnym.

To też, kiedy wieczorem zgromadzono się razem w salonie, by wspólnie o tem postanowieniu pomówić, od niej wiał już tylko odcień smutnej rezygnacyi.

Pan Kajetan tonem łagodniejszym zaczął ją skłaniać do opamiętania, wmawiając w nią sympatyę dla Szymonowicza, która, jak twierdził, zamieni się z pewnością w zapamiętałe kochanie. Matka również przemawiała tak samo, a Stefek, przypuszczony do narad odezwał się z sarkazmem, zdradzającym trywialność myśli:

— Moja Helciu, dziękuj Bogu, że takiego męża dostaniesz, stary, ale jeszcze chwat. A co za człowiek? Takich ludzi mało na świecie, choć go do rany przyłóż. Zrobisz z nim co będziesz chciała, wyrobisz go i poprowadzisz, dokąd ci się spodoba.

A ona nic, nic, tylko słuchała, w oczach jej się migał zawsze ten jeden, ukochany myślą i sercem czystem, stawał jej w wyobraźni zrozpaczony, smutny jak noc. Zaledwie zostawiono ją samą, wybuchała zawsze tłumionym płaczem, którego nikt nie słyszał. Wszystko się w niej rwało, burzyło.

Z załamanemi rękoma chodziła po pokoju swym panieńskim i myślała, myślała — wszystko ją ciągnęło w tamtą stronę ku niemu; chciała się skarżyć przed nim, lecz jego nie było — tydzień temu wyjechał za jakimś interesem do Odessy. Nie przewidywał, jaka tu zmiana zajdzie w tej napozór spokojnej Wysokiej; a może on jednak to przeczuwa teraz, może przewiduje, on taki mądry, taki inteligentny.

Wzrok jej mimowoli padł na mały obrazek Matki Bozkiej, wiszący nad łóżkiem. Promień blady księżycowego światła suwając się przez zbitą masę drzew w ogrodzie, wpadał do pokoju i smugą jasną przecinał go w połowie. W promieniu tym twarz Matki Bozkiej świeciła dziwnym blaskiem słodyczy i wesela niepojętego. Helcia spojrzała na twarz Dziewicy Przeczystej, tulącej do łona Dzieciątko Jezus i uczuła się pociągniętą czarem świętości. Uklękła więc i wpatrzona w tę Dziecinę i jej Bozką Matkę, oddawała jej miłosierdziu swoje nieszczęście, gorzko żaliła się na swoją dolę. Owładnęło nią jakieś takie rozrzewnienia niewymowne, że się modliła bez słów, bez myśli, prawie samemi uczuciami strapionej duszy. A z tego chaosu wrażeń, westchnień, przesyłanych Królowej Niebios, wyłoniła się jedna myśl tkliwa, uspokajająca stopniowo jej duszę, która sprowadziła na nią wkrótce sen dobroczynny.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Nasi najmłodsi.

(Ciąg dalszy)

Poeta wierzy, że „każde słowo wielkie, czyli małe ma swoją siłę, jak ziarno."

„Dźwięcznemi struny budzili narody
Szekspiry, Danty, Homery, Shelleye."
. . . .
„Lecz choć potężną jest geniuszu władza,
On tylko słowa w jeden dźwięk zestrzela,
Powodziom tamy stawia, ład wprowadza
W wir, ale nie bierz go za stworzyciela.
On jest *dziecięciem ich.*"

Co za różnica szalona między takim poglądem na twórczość autorską, a wyobrażeniami pseudoklasyków naszych i francuzkich. Przed stu laty uważali ludzie słowo za własność swoją, za niewolnika, za narzędzie, którem umysł ich mógł posługiwać się do wiadomych sobie celów.

Nakładali nań więzy reguł i przepisów, chcieli je mieć posłusznem, giętkiem, czuli się panami jego. Poeta nowożytny przeciwnie, wie, że on jest tylko „naczyniem, przez które przepływa strumień piękności," organem, za pośrednictwem którego ujawnia się jakaś siła tajemnicza, on czuje się niewolnikiem, dziecięciem słowa.

Czy może być coś bardziej zastanawiającego, jak te wahania się ludzkości od jednego bieguna pojęć do drugiego.

Ale wróćmy do *Pieśni o słowie.*

Poeta nie jest więc stworzycielem słów, które wypowiada. Im „łonem matczynem" jest „słów burza grzmiąca," przelatująca nad ziemią od pierwszego dnia stworzenia, „bo każde słowo słów tysiąca synem, i każde słowo ojcem słów tysiąca."

Ale z tych wszystkich, od początku świata wymówionych „żadne słowo nie jest ostateczne zwierciadło bytu najwyższych zagadek." Tego słowa szuka ludzkość wciąż, obracając się w zaklętem kole tajemnicy. I w pięknym, lirycznym ustępie, który przytaczamy poniżej, daje jej poeta cień nadziei:

„Bo nie myśl, że to słowo jest gdzieś, w dali,
W uczonych księgach, albo słów ogromie.
Ono się nieraz w prostym krzaku pali,
W prostaczej piersi żyje nieświadomie.
I nieraz dziecko wieśniaczego proga,
Wędrowny kramarz, albo dziad żebrzący,
Takie ci słowo powie pełne Boga,
Że stajesz przed nim zdumiony i drżący.
I zda się, pytać chcesz, jak i dlaczego
Mówisz to? Kto cię uczył tego słowa?..."

Kończy poeta prześliczną parafrazą modlitwy Pańskiej:

„O słowo, które jesteś we wszechbycie,
W pozorach zjawisk rozlane dla oka,
Święć się twe imię! Opromień nam życie,
I daj nam wieku naszego proroka!
Przyjdź twojej prawdy najwyższe królestwo,
Wszechobjawiona stań się twoja wola,
Pokój na każde ludzkie zlej jestestwo,
Niechaj każdemu błyśnie dobra dola.
Daj nam poznanie wszystkich praw natury,
Byśmy codziennym nakarmieni chlebem,
Nie znali walki o jadło ponurej,
I wciąż za twojem mogli dążyć niebem.
A tak wciąż wyżsi potęgą duchową —
Ucieleśniali twoje królowanie:
Raj odzyskany, w którym jedno słowo
Panuje—Miłość. Tak niechaj się stanie."

W tym wspaniałym hymnie na cześć słowa, najwyraźniej ujawnia się indywidualność autora. Głębia filozoficzna, wyobraźnia wizyonera, szczególny dar słowa, płynącego z siłą i rzeźkością potoku górskiego, nieprzebrane bogactwo porównań, przenośni, zwrotów retorycznych, wszystkie charakterystyczne pierwiastki talentu tego niepospolitego poety znajdujemy tutaj.

W „Sonetach Wedyckich" i „Księgach Proroków" zamknął Lange dzieje myśli ludzkiej, dzieje wysiłków jej, zmierzających do zerwania zasłony, kryjącej Wielką Niewiadomą.

Księgi Proroków pisane wierszem nierymowanym, który, mówiąc nawiasowo, w mowie polskiej dopiero pod piórem młodych pisarzy doszedł do wysokiego stopnia doskonałości, nieporównaną muzyką rytmów, muzyką o poważnem, uroczystem brzmieniu, działają na czytelnika, poddając mu niezmierną moc obrazów, otwierając przed wzrokiem jego bezgraniczne perspektywy.

Erotyka Langego gorąca, namiętna nie przechodzi nigdy w wyrafinowaną, wschodnią zmysłowość Tetmajera. Wysoko ceni poeta miłość. Kto nie kocha, ten podług niego:

„Nie pozna życia najcudniejszej woni —
I w końcu powie: ja byłem wyklęty;
Nie było dla mnie majowej harmonii!
Raczej się wcale nie rodzić, niżeli
Nie znać melodyi, w której śnią anieli."

W innem miejscu z wulkaniczną siłą wybucha:

„Jeżeli kochać, to kochać namiętnie,
Nie rozważając, jak ogień wytryska,
Z zamkniętem okiem lecieć w żar ogniska,
Jak żywiołowe siły — bezpamiętnie."

Z tą płomienną strofą jakiż kontrast niezmierny stanowią miękkie, słodkie dźwięki, które w innym wierszu miłosnym spotykamy:

„I cóż prócz łez twych zyskałbym na tem,
Gdybyś poznała, co ja poznałem?!
Nie, lilio moja, pozostań kwiatem,
Pozostań dzieckiem, gwiazdką, kryształem."

Czysto idealnej miłości wyrazem jest następująca strofa:

„Kocham cię za to, że jesteś otchłanią,
Kocham cię za to, że jesteś orlicą,
I że się wichry w duszy twej orkanią,
I żeś jest chmurą, i żeś jest mgławicą."

Jest to nowy w poezyi naszej ton. Tak do kobiety nie przemawiali romantycy, którzy mimo rozsławionego idealizmu swego lubili opiewać kochanek oczy czarne, lub błękitne, sploty złote, lub krucze, ale dusz ich za temat pieśni nie brali.

Po tych perłach poezyi miłosnej jako niespodzianka przykra, uderzają słowa:

„Dzisiaj nasze serce tak mózgiem przesiąknięte,
[że już być nie umie
Sercem. Samo się mózgiem stało. Nie rozumie
Szału. Byliśmy niegdyś rozumni swym szałem!
Dziś jesteśmy rozumem szaleni. Kochałem
Mózgiem. Ale ja nie chcę, by mój mózg był
[w szale!
Nie, ja nie umiem kochać! Jam nie kochał
[wcale!"

A jednak tu zdaje się być poeta najszczerszym, i tu przez usta jego przemawia ból całego pokolenia, u którego myśl przewagę wzięła nad uczuciem.

W fantazyi prozą p. t. „Godzina," znajdujemy coś jakby całokształt poglądów filozoficznych autora.

Artemis, bogini natury widomej i Godzina, bogini nadchodzącego jutra, płyną w przestworach eteru niewidzialne dla oczu tłumu ludzkiego, który w zamęcie dążeń, haseł, walk zmierza ku przyszłości, kto owemu *jutru*, mającemu wedle słów *młodzieńca*, wypowiadającego myśli poety przynieść: „głodnym chleb, myślicielom światło, marzycielom harmonię, chorym siłę, niewiastom wyzwolenie, i wszystkim szczęście." Artemis prosi Godzinę, by ukazała się nieszczęsnej ludzkości. Godzina wzbrania się. Jeszcze nie pora. Ludzkość nie dojrzała jeszcze do wielkiego jutra. A na ziemi walczą idee, wre ferment, w którym zarody jutra się kryją. „Łączcie się duchy w jedno ognisko — woła *młodzieniec*. — Niechaj cały świat będzie jako jedna rodzina i jeden człowiek!" Zapał młodzieńca udziela się tłumom, rozchodzi na najdalsze kręgi ludzkości. „I było wielkie jakby w pozaziemskiem natchnieniu zrodzone zjednoczenie dusz." Wtem zabrzmiał nagle głos starca pustelnika: „Chwała samotności! Potężnym jest człowiek, tylko wówczas, kiedy stoi sam. Niechaj każdy człowiek będzie jako świat osobny." I przyznali mu, że potężne słowo powiedział. „I nanowo rozpętały się egoizmy." Żądni użycia i możni, spieszą używać „nędzarze ze smutkiem w oku mówią: chleba, chleba, a młodzieńcy idą na pustynię." I nawet ów, który do miłości zagrzewał, poszedł za starcem, zadając sobie pytanie, czy na pustyni „stanie się jako słońce, co w każdej kropli wody się odbija, czy też będzie jako w sobie, i dla siebie tylko świecący płomień?"

Przeżywszy czas jakiś na pustyni, skarżą się mędrcom młodzieńcy, że potracili najdroższe skarby ducha. Jeden stracił tajemnicę wiary, drugi tajemnicę woli, trzeci tajemnicę natury, czwarty natchnienia, piąty szczęścia, szósty miłości i t. d. Ale mędrcy-samotnicy nie są wstanie dać im pociechy, ni rady. Wtedy występuje *młodzieniec* i nakłania ich do powrotu między ludzi. Samotność wydarła wam skarb wasz. „Tylko w odczuciu pragnień powszechnych jest wola i szczęście, miłość i natchnienie." „Ja serce swoje dla wszystkich uczuć ludzkich otwarłem i znów miłości pożądam." A gdy tak mówił, „bogini jutra, Godzina, zabłysła w całej pełni swych blasków promienistych." Takie więc jest wyznanie wiary poety. Treścią jutra, duszą jego będzie miłość.

Uroczystą kantatą na cześć przyszłości i zwiastunów jej kończy się poemat.

„Duchom przyszłości, pokoleniom nieurodzonym, prawdom utajonym, objawieniom niespodziewanym chwała! Chwała bohaterom ludów, chwała myślicielom i mędrcom, chwała niewiastom wybranym, chwała wieszczkom i prorokiniom, chwała marzycielom i prorokom. Duchom bolejącym, duchom czuwającym, duchom spragnionym, słońcom wschodzącym—chwała! Chwała godzinie, która się zbliża! Bogu na niebie, człowiekowi na ziemi — chwała wiekuista!"

Proza Langego, jak z tych urywków osądzić mogli czytelnicy, nie wiele pod względem wartości artystycznej ustępują jego rymom. I w mniej swobodnej formie i w najswobodniejszej, wyrazy jego płyną jak fale rzek wiosennych, bez wysiłku, z rozpędem młodzieńczym, z szumem. Wobec łatwości tej zatraca się po części poczucie wysokiego artyzmu tej mowy, jej istotnej kunsztowności.

Prócz utworów oryginalnych dał nam Lange tłómaczenia z Shelleya, Beaudelaire'a, Edgara Poe i innych, tłómaczenia prawdziwie artystyczne. Brak miejsca nie pozwala mi podzielić się z wami czytelnicy, chociażby urywkami tych przekładów. Sądzę zresztą, że możemy obejść się bez nich, że przytoczone przezemnie wyjątki z prac oryginalnych dają już niejakie wyobrażenie o fizyognomii duchowej młodego poety. O ile zaś na fizyognomii tej odbił się wpływ geniuszów, którym pomocy swej do przebrania się w szatę polskiego słowa użyczał, jest w gruncie rzeczy, kwestyą małej wagi. Któryż z poetów naszych nie ulegał do pewnego stopnia wpływowi twórczych potęg Zachodu, nie przestając pomimo to być sobą. Gdybyśmy mu zaś wśród naszych klanów poetyckich wyszukiwać chcieli krewnych i powinowatych, musielibyśmy zaliczyć go do tej rodziny duchów, której berło królewskie dzierży autor *Beniowskiego*.

H. C.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Międzynarodowy kongres psychologiczny
W MONACHIUM.

(Dokończenie.)

W sekcyi dla stanów hypnotycznych i pokrewwnych, spory były bardzo ożywione. Kierunek badań w tej gałęzi reprezentowała na kongresie przeważnie Anglia. Od dosyć dawnego już czasu istnieje tam komitet zorganizowany przez profesora d ra Sigdwick i jego żonę, używającą również tytułu doktorskiego — komitet, którego zadaniem jest przy pomocy cyfr statystycznych dojść do danych pozytywnych w kwestyi hallucynacyj, jasnowidzeń, przeczuć i wszystkich wogóle tego rodzaju objawów. Statystyka obejmuje tu cały olbrzymi nagromadzony materyał cyfr i dotyczy tych specyalnie wypadków, w których duch ludzki pod wpływem sił dotąd niewyśledzonych przeczuwać może śmierć osób blizkich. Ponieważ dotychczasowe spory zamykały się niemal całkowicie w granicach apriorystycznego: *możebne* lub *niemożebne*, postanowili uczeni angielscy przy pomocy rozsyłanych po całym świecie kwestyonaryuszów, zgromadzić od osób bezwzględnie wiarogodnych jak największą ilość faktów tego rodzaju, i na nich jako na materyale ściśle dowodowym oprzeć się na przyszłość w tej zawiłej, tyle umysłów zaprzątającej, a dotąd niewyjaśnionej kwestyi. Komitet reprezentowany przez małżonków Sigdwick wziął sobie jako zadanie pójść drogą wprost odmienną od tej, którą się posiłkują we wszelkich badaniach okultystycznych. Ponieważ tutaj wszystko opierają na hipotezach, postanowił komitet ograniczyć się do zbierania faktów — wyłącznie faktów. Fakta miały zdecydować o wszystkiem. Poruszono istotnie świat cały, zebrano kolosalny materyał, i ująwszy go w cyfry, przyszli poszukujący do rezultatów stwierdzających, iż przeczucie śmierci osób blizkich dziełem zbiegu okoliczności być nie może i tak zwaną zbieżnością wytłómaczyć się nie daje. Ponieważ w takim wypadku przewidywanie na odległość, przeczucie, jasnowidzenie, czyli odgadnięcie wypadku śmierci, musiałoby być podciągniętem pod rachunek prawdopodobieństwa, a tutaj cyfry dają rezultaty przenoszące 292 razy to, o czem mówi rachunek, przeto, nie pozostaje, jak odrzuciwszy przypuszczenie zbiegu okoliczności stanowczo, tłómaczyć fakta wyjątkowym stanem ducha ludzkiego, który działać może na odległość wedle jakichś praw nieznanych, którym wiedza pozytywna zaprzeczała i zaprzecza do tej pory.

Odpowiedź na te argumenty wziął na siebie doktór Sjorgen z Upsali.

Przeciwko cyfrom nie ma nic ten uczony; wiarogodności ich nie kwestyonuje bynajmniej, ale stanowczo oświadcza się przeciwko braniu wszystkich faktów pod jeden strych, pomieszczaniu ich w jednej kategoryi, bez rozróżnień i wyłączeń i wyprowadzenie z całej najróżnorodniejszej natury wydarzeń jednego ogólnego wniosku. Żąda uczony szwedzki wyłączenia z tej rubryki wszystkich wypadków, w których dręczony przeczuciami ojciec albo matka, spędzająca w niepokoju noce bezsenne — w którym rodzice tacy nawiedzeni hallucynacyą zdołali przeczuć na odległość śmierć swojego dziecka i oznaczyć jej dzień i godzinę. Tak samo nie pozwala ten uczony na podciągnięcie pod takie ogólne prawo cyfr dotyczących przeczuć osób blizkich sercem, wszystkich troszczących się o życie danej jednostki z jakichkolwiek względów, a dopiero resztę wydarzeń, które się trafiły między ludźmi obojętnymi sobie zupełnie, radzi zestawić z rachunkiem prawdopodobieństwa i jego cyframi objaśniającemi teoryą przypadku i zbiegu okoliczności. To, co tutaj wypadnie jako rezultat, będzie istotnie miarodajnem i posłużyć będzie mogło jako materyał do wnioskowań.

Profesor Karol Richet popierał o ile się dało małżonków Sigdwick i ważność zebranego przez nich materyału dowodowego, ale po za tym epizodem, dyskusya nad tym przedmiotem tak subtelnym nie przedstawiała interesu i do żadnych

decydujących wniosków nie doprowadziła sekcyi, której została powierzoną.

Jako ściśle naukowe uznane zostały prace przedstawione graficznie przez profesora Sommera z Giessen, dotyczące objawu czytania w myśli ludzkiej. Doktór Sommer wychodzi z założenia, że osoba z zawiązanemi oczyma odnajdująca w pokoju przedmiot ukryty przez inną osobę, z którą zostaje połączona, przy najwyższej nawet ostrożności ze strony osoby ukrywającej, jest stanowczo kierowaną mimowolnymi odruchami tej ostatniej i prowadzoną przez nią w najściślejszem znaczeniu tego słowa. Za pomocą zbudowanego ad hoc przyrządu, zwanego psychografem, udało się doktorowi Sommerowi spotęgować te minimalne drgnięcia i odruchy i we wszystkich trzech wymiarach graficznie zaregestrować.

Tym sposobem danym jest początek doświadczalnemu studyum nad objawem czytania w myśli ludzkiej i sprowadzeniu na grunt czysto realny zjawiska, które różni ludzie z różnych zapewne powodów usiłowali ściągnąć w dziedzinę zjawisk nadprzyrodzonych.

Bardzo bogate materyały i obszerne rozprawy toczyły się w zakresie psychologii estetyki.

Co jest istotą piękna? Zkąd pochodzi, że kilka wierszy złożonych rytmicznie, albo harmonizujących się końcówkami podrażnia w wysokim często stopniu uczucie człowieka i wywołuje jego zachwyt? Dlaczego doświadczamy wysokiego zadowolenia duchowego na widok obrazu?

W czem tkwi potęga wydzielająca się z arcydzieła? Czem sądy i jakie ich kryteryum?

Żałujemy bardzo, że wielu określeń i definicyj przytoczyć nam tutaj nie wolno dla braku miejsca, gdyż niejedna z nich odznacza się trafnością uderzającą i wniknięciem głębokiem w ducha rzeczy, ale jedną z nich choćby dla próby podzielić się nam wypadnie:

„Wrażenie estetyczne jest to tego rodzaju stan psychologiczny, który niezależnie od swojego podmiotu posiada cechy zupełnie charakterystyczne, a mianowicie manifestuje się przytłumieniem objawów życia materyalnego i wskutek tego swobodnym, nietamowanym popędem wyobraźni."

We względzie tego czem są te wrażenia w stosunku do życia, jaki ich wpływ, znaczenie i konieczność, zdaje się, że trzymają się dotąd Niemcy Voltair'owskiego: „Le superflu — chose très necessaire," które nawet na kongresie przytoczonem było. Wreszcie nie godziło się spodziewać czego innego na gruncie niemieckim, od wieków uprawianym w tym kierunku— na gruncie, który dał światu tylu twórców i myślicieli.

W ostatnim dniu kongresu zabrał głos profesor Flechsig i mówił o kojarzeniu się pojęć w mózgu człowieka. Wywiązały się wskutek tego żywe debaty między przedstawicielami psychologii i psychiatrami nad kwestyą: Jakiego znaczenia dla psychologii danego indywiduum jest anatomiczna budowa jego czaszki.

Doktór Franciszek Brentano mówił o teoryi wrażeń wogóle, a z tego przeszedł doktór Elbinghaus profesor filozofii z Wrocławia do nowych metod doświadczalnych dla wykrycia uzdolnień umysłowych i zastosowania tych metod w szkołach niższych i wyższych.

Doktór Jeannet mówił o somnambulizmie i jego wpływach. Pouczającemi były wielce spostrzeżenia tego psychiatry na stosunkiem hypnotyzowanych do hypnotyzującego, biernością tych pierwszych i podatnością ich do przyjmowania wszelkiej przewagi ze strony hypnotyzera, a w pewnych okolicznościach przerodzenia się tych wpływów w prawdziwą namiętność medyów.

Zakończyła kongres mowa profesora doktora Lippsa.

Jak widzimy z tego chociażby niedokładnego sprawozdania, zagadnienia naukowe roztrząsane na kongresie w Monachium należały do pierwszorzędnych. Jakie z nich spłynęło światło na kwestye rozbierane, czy zjazdy takie znaczą istotnie etapy, jakie robi nauka w pochodzie swoim, o ile się takie kongresy do tego przyczyniają lub nie, tego wszystkie nie czujemy się w stanie rozstrzygnąć. W każdym razie wolno ludziom dobrej woli cieszyć się, ilekroć widocznym jest tryumf światła, które, jak to już dzisiaj każdy chyba rozumie, samo tylko może rozjaśnić drogi szukającym prawdy i dobra.

Dlatego niby zgrzyt jakiś drażniący przyjął zapewne czytelnik krytyczny niemiecki i obcy zachowanie się odnośnie do kongresu monachijskiego, pewnego odłamu prasy berlińskiej. Wprawdzie idzie tu o pisma codzienne pruskie, które jak wiadomo ani czystością intencyj nie grzeszą, ani skrupułami jakimikolwiek krępować się nie zwykły, a do inwektyw i napaści wytresowane są oddawna przez system, ale bądź co-bądź zawsze to przecie są pisma niemieckie, które z tej okoliczności szczególną na siebie przyjęły rolę. Dworuje sobie po feljetonach taki na przykład „Berliner Tagblatt" z kongresu całego i jego prac, szydzi z Monachium, które powzięło myśl szczególną gromadzenia u siebie przedstawicieli nauki współczesnej, przedrwiwa nie bardzo mądrze, ale bardzo jadowicie zagadnienia roztrząsane, z tej rozumie się racyi, że rola taka, gdy idzie o przedstawicielstwo ducha niemieckiego w jakimkolwiek kierunku, jednemu tylko przysługuje Berlinowi. I tak na przykład zastanawiając się nad kwestyą wolnej woli rozbieraną na kongresie psychologów, oburza się „Tagblatt," że mogą być jeszcze zagadnienia podobne rozbierane w naszych czasach, podczas gdy od tylu lat rozstrzygnął to wszystko raz na zawsze Emanuel Kant, który był jak wiadomo *pruskim* uczonym.

Przyzna każdy, że szowinizm pruski liczy się do antypatyczniejszych, a buta pruska równej sobie nie ma chyba na świecie całym.

T. M.

NAD SIŁY.

NOWELA.

Pewnego pogodnego dnia czerwcowego w roku 187... uderzyło wpół do trzeciej z południa na wieży jednego z dworców drogi żelaznej w Warszawie.

Dwadzieścia minut tylko brak było do odejścia pociągu pośpiesznego, a wbrew zwyczajowi ruch był dotąd wyjątkowo ospały. Żółciowego temperamentu kasyer flegmatycznie wydawał bilety jazdy, oszczędzając wzruszeń sobie, a publiczności admonicyj bezpożytecznych, konduktorzy przechadzali się z powagą i wyraźnem zadowoleniem wzdłuż ustawionego szeregu wagonów, błogosławiąc dzień, który się dla nich tak spokojnie zapowiadał, a i komisyonerzy kolejowi, pomimo że chciwie wyrywali sobie pasażerów, nie mogli doprowadzić do zamięszania, jakie o tej godzinie panowało zwykle na peronie i w salach poczekalnych. Zamilkł nawet przeraźliwy głos garbatego roznosiciela dzienników, który zwykle modulował natężenie swojego piskliwego dyszkantu w miarę zwiększającego się ścisku i wzrastającej wrzawy.

Ale naraz z owem uderzeniem godziny wpół do trzeciej zawrzało przed dworcem, na dworcu i z tamtej strony jego, jak gdyby ci wszyscy opóźnieni na ten właśnie przedostatni dzwonek czekali, i jak gdyby na tę chwilę naznaczyli sobie schadzkę ku możliwie największemu udręczeniu własnemu, ku zawróceniu głów administracyi, oficyalistyom i posługaczom kolejowym. Jakoż niebawem nie mogła już sobie dać rady służba policyjna z odprawianiem napływających ekwipaży i dorożek. Cera twarzy kasyera, jak to łatwo zauważyć mogli stojący najbliżej, przechodziła stopniowo wszystkie odcienia barwy pąsowej zrazu a fioletowej następnie. Konduktorzy przeklinali siebie i publiczność, naczelnik stacyi nie przestawał bronić się heroicznie przeciw ustawicznym propozycyom dodatkowej liczby wagonów, a wraz z tem wszystkiem tłumy, które już wyczerpały swoją terminologią przyzwoitą i intonacyą głosu umiarkowaną, uciekały się do coraz mniej wyszukanego i coraz głośniejszego sposobu przedstawiania swoich żądań.

Jednem słowem Zarwańska ulica prawdziwie, z którą dosyć często spotykamy się w takich chwilach na dworcach kolejowych całego świata, a najczęściej na własnym naszym gruncie, który jak wiadomo, tem się odznacza, że tu wszelkie mniej ważne, ważniejsze i najważniejsze sprawy odkładane bywają, o ile się tylko da, do ostatniej chwili.

Jak gdyby na domiar zamętu całego, zajeżdżał teraz sznur ekwipaży weselnych, który dwoje jakichś szczęśliwych — na krótko czy na długo, ale szczęśliwych w każdym razie, wraz z uczestnikami ich poślubnej uczty, odwoził na stacyę kolei. Zajaśniało na peronie od toalet świetnych, kwiatów, uśmiechów, a dużo życzeń bezładnie rzucanych wraz z bukietami do okna pierwszej klasy, popłynęło teraz z tego grona uroczyście nastrojonych kobiet i sztucznie rozweselonych mężczyzn, których ostatni kieliszek szumiącego płynu wychylony za pomyślność nowożeńców przy biesiadnym stole, do tego gratulacyjnego wylewu zobowiązywał.

Nie szczędźcież im tych życzeń blizcy i życzliwi! Życie takie krótkie, przyszłość taka tajemnicza i nietylko jutro ale i dzień dzisiejszy człowieka taki niepewny.

Może jedno prawdziwie szczere westchnienie przejednać złe losy, i zażegnać niebezpieczeństwo, zawieszone już nad temi młodemi głowami.

Parę minut zostawało tylko do odejścia pociągu. Uwaga całego tłumu zwrócona była na to grono świetne. Wymieniano zapytania i odpowiedzi dotyczące nazwisk obojga nowożeńców, chwalono i ganiono stroje zebranych, a jednomyślnie prawie zachwycano się urodą młodej małżonki, podnoszono wdzięk rysów, obejście ujmujące na pierwszy rzut oka, nie zapomniano nawet o skromnym kostyumie podróżnym i o białym wysokim kapelusiku, który tak umiejętnie

dobrany był do całości, i tak szczególnie odpowiadał rodzajowi piękności młodej kobiety.

Ani domyślali się podróżni, że tam na przeciwnym końcu pociągu inną, zupełnie w tym samym rodzaju kończy się scena rodzinna. W tym samym rodzaju, ale tamtemu obrazkowi skromnemu los odmówił złoconych ram, które tutaj właśnie tak pociągały i nęciły. Dlatego tych widzieli wszyscy, podczas gdy tamci pozostali w cieniu zupełnym.

I tam dwoje młodych, którzy dzisiaj zaprzysięgli sobie miłość w ustronnym kościołku Trynitarzy, odjeżdżało z rodzinnej Warszawy, ale nie w daleką podróż poślubną, a do miejsca urzędowania męża. Przed tamtymi otwierały się widnokręgi życia pełnego szczęścia i blasków — ci mieli jedną prostą a zacieśnioną perspektywę pełną trudu i pracy przed sobą. Pierwszych odprowadzało grono całe przyjaciół i krewnych— tej drugiej parze, oprócz starego ojca młodej małżonki nie towarzyszył nikt blizki. Może nie chcieli mieć świadków licznych w tej chwili uroczystej, a może wogóle nie mieli tak zwanych blizkich i przyjaciół obok siebie. Nie byłoby w tem nic dziwnego. Od mierności, od szarego bytu uciekamy tak skwapliwie, że droga wszystkich odsądzonych od rozkoszy życia, a skazanych na dożywotnie dźwiganie mniej lub więcej ciężkiej taczki życia, zawsze prawie prowadzi przez pustynię.

Na pomoście wagonu trzeciej klasy stała tutaj młoda kobieta lat dwudziestu niespełna i z żywem przejęciem śledziła wrażenia na twarzy o kilka lat starszego od siebie człowieka, któremu jej ojciec mówił coś w tej chwili poprzedzającej rozstanie—coś, co ich obu zajmowało bardzo. Skromnie ale starannie ubrana, rysów wysoce charakterystycznych wyrazem, przedstawiała ona jeden z typów rodzimie tutejszych w najdodatniejszem rozumieniu — typu, którego poszukiwać należało w dzielnicach dawniejszych miasta. Nie mówimy o dniu dzisiejszym, a w epoce, z której bierzemy ten epizod, nie modernizowały się jeszcze tak pospiesznie jak to ma miejsce dzisiaj, i nie traciły swoich znamion warstwy pracujące. Życie w tych sferach znaczyło swoje ślady głęboko i nie dając przedwczesnej starości, pozwalało na wczesną dojrzałość, urabiając wraz z duchem i formę zarazem. Tam gdzie dyssymulacya codzienna uczuć i wrażeń nie wytwarzała drugiej maski, sztucznej, zasłaniającej zupełnie naturalną, tam los, jego przypuszczalne koleje, dążenia, stopień inteligencyi, wszystko dla umiejętnego spostrzegacza było jak na dłoni. Nic zagadkowego — tajemniczego — nadewszystko nic konwencyonalnego.

To też obserwator umiejętny, byleś mu powiedział, kim byli dla siebie ci ludzie, i jaki dzisiejszego ranka związek połączył ze sobą młodych, odrazu byłby dostrzegł, że szła tu kobieta w przyszłość nie z wyciągniętemi ramionami, ale z rozwagą i świadomością, że nie biegła z zachwytem jak tamta, ale oglądała się po za siebie z troską serdeczną za starym, osamotnionym ojcem, któremu pozostawiała pustkę zupełną w domu na resztę jego życia.

Dla tych, których życie walką jest nieustanną, szczęście ma jakieś podobieństwo do słońca, przeglądającego zawsze z po za chmur, i to chwilami tylko.

Niczem nie przypominała ta młoda kobieta amtej pięknej, szczęśliwej, świetnej — ani duchem, ani pozorem. To było chyba między niemi wspólnego, że im natura dała obu ten sam jasny kolor włosów, a gdyby ktoś—drobiazgowy na przykład spostrzegacz z niewieściego świata, koniecznie chciał doszukiwać podobieństw i zbliżeń, to byłby mógł je wynaleźć chyba w tożsamości prawie kapeluszy, które przypadek obu młodym małżonkom umieścił w tym dniu na głowach.

Ten przypadek potrafi jednak niekiedy być wielkim psotnikiem, a nawet tyranem bezlitośnym, jak nas poucza życie, któż wreszcie nie miał sposobności stwierdzenia tej prawdy własnem doświadczeniem.

Ruch nie ustawał ani na chwilę jednę — owszem im bliżej było do odejścia pociągu, tem wydawał się bardziej natężonym i gorączkowym, gdy naraz rozległy się w kilku punktach wydłużonej linii wagonów głośne wołania: „proszę siadać!” w ślad za niemi hałaśliwe zatrzaskiwanie drzwi, potem jeszcze kilka ogłuszających uderzeń dzwonka, a wreszcie świstawka i wraz ze zgęszczonymi kłębami dymu buchającego z komina parowozu, zakołysał się sznur cały i poważnie zrazu, a następnie ze wzrastającym pośpiechem pognało to wszystko w dal — w świat szeroki — w przeznaczenie, jeśli kto woli.

Bardzo oswojony jest człowiek dzisiejszy z tego rodzaju widokiem, i gdyby nie było tysięcy istnień ludzkich, które ten rodzaj lokomocyi pospolity i banalny unosi wraz z sobą w tajemniczą przyszłość i ku tragicznym często rozwiązaniom, nie byłoby odeń nic zwyczajniejszego i monotonniejszego.

Niestety, na te rozwiązania trafiamy na każdym kroku, stąpając ciągle wśród cierpień i boleści własnych i cudzych.

Ochocze grono weselne wraz z pierwszem drgnięciem pociągu rozbiegło się do oczekujących karet, inni odprowadzający swoich blizkich zdążali także powoli, każdy do spraw codziennych, i nie upłynęło dwóch minut a na peronie, tam, gdzie tyle przed chwilą było ruchu i życia, pusto zrobiło się zupełnie, i oprócz jednego — literalnie jednego tego starca, który odprowadzał dziecko swoje na niewiadomo jak długą rozłąkę, nie było nikogo zupełnie.

Ale ten jeden został na swojem miejscu, twarz miał marmurowo spokojną, a wzrok zwrócony w kierunku, w którym pobiegł pociąg, i patrzył na zmniejszającą się na horyzoncie z chwilą każdą wstęgę białego dymu.

Czy widział przed sobą cokolwiek, albo słyszał dokoła siebie?

Przekonani jesteśmy, że ani patrzył, ani zważał. Gdyby zmysłami był przy ziemi, nie byłby tak nieruchomie stał w tem samem miejscu, podczas, gdy w parę już minut po odejściu pociągu zaczął się dokoła niego ruch jakiś niezwykły w tem nawet miejscu—ruch, który był w stanie pochłonąć, nietylko zwrócić na siebie uwagę każdego normalnie usposobionego człowieka.

Od pierwszej, na stacyi jeszcze ustawionej, zwrotnicy biegł człowiek zadyszany w mundurze służby kolejowej, trzymający w ręku coś, czego kształtów niewyraźnych rozeznać nie było można, i otworzywszy drzwi na których napisano „kancelarya zawiadowcy stacyi“ znikł za niemi.

Niebawem w przeciwnym kierunku zaczęli biedz w pomięszaniu urzędnicy kolejowi, służba policyjna i wojskowa, wszystko co na dworcu było pod tę chwilę i ze służbą ruchu w jakimkolwiek zostawało zetknięciu. Ci ludzie biegli pędem, gestykulowali, ocierając się o tego starca nieruchomie stojącego, rzucali pojedyncze słowa z których on, gdyby przytomniejszym był cokolwiek, mógł już sobie był całość pewną ułożyć.

Ale jak powiedzieliśmy, człowiek ten ani słyszał, ani widział dokoła siebie.

Wkrótce w odległości 700 do 1000 kroków na plancie drogi żelaznej widać było grupę kilkudziesięciu ludzi, stojącą na pozór nieruchomie, a tuż obok starca, niewiadomo dlaczego, zbierać się zaczynała inna gruppa, do której przybywali powracający z tamtej strony, i zdawali się objaśnień jakichś udzielać.

Nie wiele więcej słychać było oprócz wykrzykników, oznak współczucia, szczegóły skąpe, zaledwie objaśnione przez pojedyncze wyrazy bezładnie rzucone.

— Kobieta?

— Kobieta, przecież wszyscy to mówią, a wreszcie ślad udowadnia najlepiej.

— Młoda?

— Kto może wiedzieć? Ale młoda chyba, przecież stara podobnego kapelusza mieć nie mogła. A wreszcie włosy.

— Jasne. Jasnoblond — włosy kobiety młodej.

— I to przy pompie?

— Naturalnie, że przy pompie. Wiele to razy mówili ludzie, że ta pompa narobi nieszczęścia.

— Będzie teraz zarządowi ciepło. Dobrze im tak!

— U tych pogan życie człowieka grosza złamanego nie warte. Nie dziś, to jutro musiało się przecie na tem skończyć.

Starzec nic nie słyszał. Dalej odzywały się głosy powracających z kancelaryi zawiadowcy:

— Posłano telegram urzędowy do pierwszej stacyi. Zaczekajcież, pociąg za 5 minut będzie na miejscu. Za kwadrans najdłużej będziemy mieć wiadomość.

Minął i ten kwadrans, biuro zawiadowcy było oblężone, ale o wiadomość ztamtąd trudno było jakoś — pokazuje się, że nie chciano szerzyć popłochu, albo może wiadomości ze stacyi nadeszłe jakieś były niedostateczne—niezupełne.

Powoli rozchodzić zaczynali się wszyscy i znowu wpatrzony w dal pozostał na peronie ten jeden starzec samotny.

Zamknięto drzwi od sali pasażerskiej, a z okien kancelaryi zawiadowcy zaczęto się temu człowiekowi przypatrywać teraz uważniej i widać było, że on jest przedmiotem rozmów zgromadzonych urzędników. Wreszcie ukazał się w czapce mundurowej pomocnik zawiadowcy, i pozdrowiwszy grzecznie wpatrzonego w przestrzeń zapytał wprost:

— Pan oczekuje kogoś? Pociąg za godzinę dopiero nadejdzie.

Wyrwany z zamyślenia spojrzał dokoła wpółprzytomnie, wreszcie nie pamiętając zapytania, zagadnął:

— Czy przepisy wzbraniają zostawać w tem miejscu?

— Oh, nie o to idzie — była odpowiedź. — Chciałbym jednak zapytać pana, czy pan oczekuje kogo, czy też stoi tutaj od czasu odejścia pociągu, jak mi powiadają?

— Tak jest... ja byłem na pociągu... odprowadzałem... a teraz widzi pan, tak mi jakoś niesporo odejść... wreszcie jeśli trzeba koniecznie...

— Nie rozumiemy się. Daruj pan, jedno jeszcze pytanie.

— Słucham.

— Kogo pan odprowadzał?

Starzec zaczął powracać do świadomości.

— To coś wygląda na indagacyę — odpowiedział z niechęcią. — Ale mniejsza z tem, jeśli to panu na co potrzebne, to mu powiem, że odprowadzałem córkę. Czy zadowolony pan jesteś teraz i czy pozwolisz mi odejść?

— Chwileczkę panie, doprawdy, gdybyś pan wiedział.. ale jedno jeszcze. Córka zamężna?

Na twarzy starca ukazała się teraz niechęć jawna.

— Zamężna. Tym razem zapewne będzie koniec?

— Jeszcze jedno, panie, miejże na Boga cierpliwość i wyrozumienie. Przecież nie dla głupiej ciekawości męczę pana i siebie. Odkąd zamężna córka?

Starzec z bladego stawał się siny. Przeczucie chwytało go teraz w swoje szpony, to też utopiwszy wzrok nieruchomy w urzędnika odpowiedział:

— Od dzisiaj rana...

Badać zaczął on ze swojej strony; zdawało mu się, że czyta w twarzy tego, który stał przed nim coś w rodzaju współczucia, które mu sztyletem utkwiło w sercu, a kiedy mu powiedziano:

— Racz pan pofatygować się do kancelaryi zawiadowcy — szedł wpółprzytomny powtarzając: Panie ulituj się nademną, i z tymi wyrazami stanął przed stołem, na którym leżał telegram otwarty. Kartkę z kilkunastu wyrazami, podawał mu w milczeniu przez stół zawiadowca stacyi.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Szczepienie ospy ochronnej.

Ma już to do siebie wszelkie niebezpieczeństwo minione, że szybko o grozie jego zapomina człowiek, i że tak, jak skłonnym był do ofiar, gdy jemu i jego blizkim każdogodzinne zagrażało niebezpieczeństwo, tak bezkłopotliwie ufnym okazuje się, gdy klęska zażegnaną jest chwilowo chociażby.

Tak się mają rzeczy, gdy idzie o zachowywanie ogólnych przepisów sanitarnych — tak traktują ludzie sprawy wszelkich epidemij. Co do ospy powiedzieć można, że ogół uważa ją widać ako epidemią w pewnym stopniu wygasającą a nawet wygasłą, że nie przejmuje się człowiek dzisiejszy jak należy ważnością szczepienia, a tem mniej rewakcynacyj następnych, i że bez obostrzeń administracyjnych gotowaby nieopatrzność ludzka przywrócić ospie jej dawną siłę i rozpowszechnienie.

O tem przekonywamy się ze sprawozdań jakie nam podają pisma francuzkie z bieżącego miesiąca.

Na ostatniem posiedzeniu Akademii lekarskiej w Paryżu, komunikował temu ciału naukowemu doktór Hervieux treść raportu, jaki złożył w roku bieżącym Ministrowi spraw wewnętrznych. Raporta takie o stanie ospy zarówno jak innych chorób zakaźnych na całym obszarze Rzeczypospolitej francuzkiej, składają się corocznie. Otóż w tem co się tyczy Paryża i większości pierwszorzędnych miast francuzkich, szczepienie pierwsze i rewakcynacye następne, jak głosi sprawozdanie, są jak najskrupulatniej przestrzegane i co do tego zarówno inspekcya naukowa, jak gorliwość władz administracyjnych stoją zupełnie na wysokości obowiązku. Wyjątek stanowi jedna tylko Marsylia, która dzięki niewytłumaczonej niedbałości swoich organów sanitarnych doprowadziła rzeczy do tego, iż dzisiaj statki wychodzące z tego miasta odbywać muszą kwarantannę w większej części portów europejskich.

Otóż od czasu jak municypalność Marsylska przestała przestrzegać szczepienia obowiązkowego a bezpłatnego, rozpanoszyła się tam ospa w rozmiarach zatrważających prawdziwie, tembardziej, że w tem mieście nadmorskiem oprócz licznego proletaryatu miejscowego jest jeszcze i 100 tysięcy ubogiej ludności włoskiej, i w tych dopiero dzielnicach przez nią zamieszkałych sroży się epidemia z natężeniem takiem, jakiego nie widziano od końca XVIII stulecia. Jak wiadomo ta epoka była punktem kulminacyjnym w historyi tej epidemii i podówczas też odbyły się pierwsze próby nieśmiertelnego Jennera.

Jak szybko wzrasta szerzenie się ospy, gdy jej się tamy stawiać zaniedba, przekonać się można z tych kilku cyfr:

Zaniedbanie szczepień ochronnych w Marsylii odnoszą lekarze do roku mniej więcej 1881—82. Otóż w latach 1885 i 1886 zmarło w tem mieście na ospę ogółem 3,381, a dalej znajdujemy taki stopień wzrostu zarazy.

W 1894 roku na każde 100 tysięcy mieszkańców umarło 147.

W 1895 roku na każde 100 tysięcy umarło 758.

A przez pierwszy kwartał r. b. umarło w tym stosunku już 358 ludzi.

Jednem słowem niebezpieczeństwo zaczyna być istotnie groźnem.

I w Niemczech po kampanii franko-niemieckiej zjawiła się ospa, a że przyszła niespodzianie, że nadto miały Niemcy co innego na głowie jak kwestyę sanitarną na miejscu, więc mimo, że czujność organów pruskiej służby bezpieczeństwa uchodzić może za wzorową pod każdym względem, walka z epidemią szła opieszale.

Niebawem zbaczono się jednakże, obostrzono przepisy jak najsurowiej, i oto mamy w cyfrach rezultaty stanu rzeczy, przed obostrzeniem przepisów o szczepieniu i rewakcynacyi, i stanem rzeczy po wykonaniu tych rozporządzeń. W ciągu roku umarło:

	Przed	po
W Berlinie	632	0,4
„ Wrocławiu	356	0
„ Hamburgu	167	0
„ Monachium	89	0
„ Dreznie	360	1

Rewakcynacya obowiązuje co pięć lat.

K.

Wskazówki i rady.

WIELKA NOWOŚĆ.

Prawdziwą nowością i ułatwieniem pracy w kuchni, jest wyrabiane obecnie przez panią Mayer (ulica Hoża numer 13) ciasto francuzkie listkowe, zupełnie suche. Sekret ten zdobyła pani Mayer sama z doświadczenia; jest to ciasto zagniecione, które na specyalnym ku temu przyrządzie walcowane, wychodzi jak najcieńszy papier w drobnych kawałkach, a następnie suszone i stosownie użyte daje najlepsze ciasto francuzkie, na ciastka przekładane, na szarlotki i tym podobnie. Że każda rzecz ma swoje ale, więc i tu jedyną wadą jest, iż się nie daje fasonować. Sposób użycia podaje pani Mayer kupującym wyrób, który nawet jest dość tani, gdyż sprzedaje się po 30 kop. funt, a ponieważ jest lekki, więc go wiele idzie na wagę. Podobno ma być do nabycia we wszystkich sklepach kolonialnych. Będzie to prawdziwa wygoda.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

MAGAZYN DZIECINNY

Z. ŁASKIEJ,

Chmielna 18 (przy Brackiej),

Największy wybór gotowej konfekcyi dziecinnej. Przyjmują się obstalunki. CENY BARDZO NIZKIE.

48118

W Zakładzie Naukowym 6 k. MARYI RAUM

47923

Nowy-Swiat Nr 15 (róg Jerozolimskiej).

Egzamina wstępne rozpoczną się dnia 2 Września, lekcye 5 Września; zapis pensyonarek i uczennic przychodnich od 26 Sierpnia, między godziną 10—5 po południu.

! WYPRZEDAŻ !

pozostałych towarów z Magazynu

E. LOTH

jako to: Kapeluszy letnich i filcowych damskich i dziecinnych, oraz mezkich wyłącznie słomkowych, również Kwiatów po cenach niżej kosztu, odbywa się w dalszym ciągu w lokalu prywatnym, przy ulicy Nowy-Swiat Nr 57 (blizko S-to Krzyzkiej).

Zakład Naukowy Żeński 6-cio klasowy

STANISŁAWY ŁAPIŃSKIEJ

W WARSZAWIE,

Krakowskie-Przedmieście Nr 2.

(Wprost Kopernika).

Przyjmuje uczennice na przychodnie, półpensyonarki i pensyonarki stałe. Warunki przystępne. Po za obowiązującym programem nauk szkolnych, kładzie się nacisk na krój, roboty ręczne, konwersacyę w obcych językach, oraz dobre wychowanie, w najwyższem znaczeniu tego słowa. Gimnastyka, muzyka, śpiew, tańce bez oddzielnej opłaty od pensyonarek. Zapis i egzamin nowowstępujących uczennic odbywa się codziennie. Rok szkolny zaczyna się 5 Września.

BIURO KOMISOWE UNGRA

Warszawa, Krak.-Przedm. 9. Stale posiada na składzie nowe i używane:

Telefonu 734.

- **Biblioteki** dębowe, orzechowe, mahoniowe.
- **Biurka** męskie i damskie.
- **Dywany** perskie, bucharskie, francuskie i syberyjskie.
- **Ekrany** mahoniowe.
- **Fortepiany** i panina.
- **Kredensy** dębowe, orzechowe, mahoniowe
- **Krzesła** dębowe i gięte.
- **Lampy** stojące i wiszące.
- **Lustra** czarne, dębowe, orzechowe, złocone.
- **Łóżka** orzechowe, mahoniowe i żelazne.
- **Meble** salonowe i fantazyjne.
- **Obrazy** i dzieła sztuki.
- **Otomany** jutą lub dywanem kryte.
- **Słupy** drewniane i stiukowe.
- **Stoły** dębowe, orzechowe, czarne.
- **Szafy** dębowe, orzechowe, mahoniowe.
- **Szkło** i porcelana.
- **Toalety** orzechowe, mahoniowe.
- **Umywalnie** orzechowe z blatami marmurowemi.
- **Zastawy** bronzowe na biurka.
- **Zydle** dębowe.
- **Zyrandole** i kandelabry.

Telefonu 734.

2469

CENY NIZKIE.

PIERWSZORZĘDNE BIURO NAUCZYCIELSKIE

Felicyi Ginejko przy zakładzie froeblowskim *Jadwigi Chrząszczewskiej*

w Warszawie, Nowy-Świat 21. 474426

Froeblowskie kursa Zakład Jadwigi Chrząszczewskiej

48312 ***Nowy-Swiat Nr 21.***

Przyjmuje przychodnie pensyonarki. Konwersacya francuzka. Cena przystępna.

Szkoła Prywatna Mezka

przy ulicy Chmielnej numer 13,

przygotowywa uczniów do niższych trzech klas średnich zakładów naukowych. Przyjmuje się nawet nieumiejących czytać i pisać Wymagane są: metryka urodzenia i świadectwo szczepienia ospy. Przy szkole stancya dla uczniów szkół prywatnych. Zapis odbywa się codziennie od godziny 10 z rana do 2-ej po południu. Przełożony Szkoły

48214 **R. KOWALSKI,**

b nauczyciel szkół rządowych.

Marya MATUSZEWSKA
Przełożona Pensyi Żeńskiej

47624

w Warszawie, przy ulicy Leszno Nr 28.

Zawiadamia, iż zapis uczennic na rok szkolny 1896/7, tak przychodzących jak i pensyonarek, odbywa się codziennie od 10 –5-ej, kurs nauk zacznie się 1 go Września.

M. POZZI

POLECA:



ZEGARKI i BIŻUTERYĘ,

przyjmuje zamówienia i reperacye oraz złocenia i srebrzenia

Nowy-Świat 31 (róg Chmielnej).

Są do nabycia w księgarniach dzieła naukowe pedagoga **REUSSNERA:**

Najlepsza Metoda

do nauczenia się **BEZ NAUCZYCIELA** czytać, pisać i rozmawiać po niemiecku w **3**-ch **MIESIĄCACH**, po angielsku w **24**-ch **LEKCYACH.** Cena metody niemieckiej kurs niższy 60 k. — kurs wyższy rs. 1 k. 60. Komplet (oba kursa) **tylko 2 rs. METODA ANGIELSKA** z wymową kurs I k. 75, kurs II rs. 1 k. 20, komplet rs. 1 k. 70. „SAMOUCZEK" **POLSKO-FRANCUZKI** z wymową 37 zeszyt. po 15 k. **NAJLEPSZE ELEMENTARZE: POLSKO-NIEMIECKI i RUSKO NIEMIECKI** z wymową, z 14 wzorkami, kop. 35, 20 i 10. **POLSKI** kop. 25, 15 i 4.

Na przesyłkę pocztową dopłata do każdego rubla po kopiejek 20. Skład główny u autora (Reussnera) **ZŁOTA 6, w Warszawie.** 4181324

Warszawa, ulica DŁUGA № 5.



TELEFONU № 772.

WINA ZAGRANICZNE,

Koniak „IMPERIAL."

Wybór wielki.—Ceny najniższe. 4171526

SZKOŁA
Haliny z Leszczyńskich Tokarzewskiej.

Przyjmuje pensyonarki dorosłe i panienki kształcące się prywatnie. Rysunki i Malarstwo pod kierunkiem artystów malarzy Andrychiewicza i Wiśniewskiego. Półrocze rysunków **rs. 12.** Półrocze haftów artystycznych **rs. 12.** Kursa otwarte 2 Września.

HORTENSYA Nr 7. 47736

W. SIERCZYŃSKI

Szewc

Mezki i Damski.



Poleca wybór gotowego obówia, wykończenie staranne i eleganckie.

46466

WARECKA Nr 1, róg Nowego-Światu.



Pismo tygodniowe ilustrowane, nauce i rozrywce młodzieży poświęcone

(NAJSTARSZE W KRAJU).

W części literackiej zawiera: opowiadania historyczne i z podróży, powieści, wiersze, komedyjki, pogadanki naukowe, zadania różne, rebusy i t. p. Wszystko to w formie odpowiedniej dla umysłów młodocianych.

Część illustracyjna, bogata i bardzo starannie prowadzona.

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie:		*Na prowincyi:*	
Rocznie. . .	rs. 4.	Rocznie. . .	rs. 5 k. —
Kwartalnie. . .	rs. 1.	Kwartalnie. . .	rs. 1 k. 25

Jan Skiwski, Warszawa, Chmielna 26.

Дозволено Цензурою Варшава 13 Августа 1896 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**